

urban waite



OSTATNI CZŁOWIEK **OSTATNIE ZLECENIE** OSTATNIA SZANSA

JUŻ JESTEM **MARTWY**

Telefon budzi go o wpół do czwartej rano. Ray leży z otwartymi oczami w ciepłym, pomarańczowym blasku światła z sąsiedniej przyczepy, przedzierającym się przez zasłonę nad głową, a przez rozsunięte okno do środka wdziera się surowy przedwieczny zapach pustyni nocą.

Przesuwa dłońmi po twarzy. Telefon na nocnym stoliku wciąż dzwoni. Czy sam się o to nie prosił? Czy nie tego oczekiwał? Przygryza wargę, czuje słony smak zaschłego na skórze potu. Przeciera twarz, próbując jakoś ją ożywić, czuje ból.

Telefon na stoliku przy łóżku wciąż dzwonił. Ray poszukał go po omacku. Na podłogę posypały się puszki po piwie, jedna z nich upadła ciszej, bez brzęku, dowód, że była na wpół pełna.

Za wcześnie, cholera! Za wcześnie!

Uniósł się. Usiadł. Postawił telefon na udach, podniósł słuchawkę do ucha. Oparł się plecami o ścianę i czekał.

— Gotów się zabawić? — spytał Memo.

— Co rozumiesz przez „gotów”?

Głos Mema załamał się. Ray wyobraził sobie pogardliwy uśmieszek na jego ustach.

— Myślałem, że tacy starzy faceci jak ty wstają przed wschodem słońca.

— Nie jestem „takim starym facetem” — odparł Ray.

— Spokojnie — powiedział Memo. — To komplement.

— Tak? Co rozumiesz przez „komplement”?

— Będzie jak za dawnych dobrych czasów.

— Mam nadzieję, że nie będzie.

Cisza. Trwała chwilę, nim przerwał ją Memo.

— Dzwonię powiedzieć ci, że dzieciak w drodze. Co było, a nie jest...

Ray smakował sylaby: „by-ło, by-ło”.

— Posłuchaj — powiedział Memo. — To mój siostrzeniec. Podziwia cię. Przyszłość należy do niego, więc spróbuj przypilnować, żeby go nie zabili.

Siostrzeniec Mema nazywał się Jim Sanchez. Dla Raya był dzieciakiem na warunkowym, po pięciu latach odsiadki. Właściwie nie wiadomo, czego się po nim spodziewać.

— Nie mówiłem ci, że chcę robić za opiekunkę do dzieci.

— Ale mówiłeś, że nigdy nie będziesz dla nas pracował.

— Świat się zmienia.

— A owszem, owszem.

Memo przerwał połączenie. Ray zsunął się na łóżko, odstawił telefon na nocny stolik. Życie nie ułożyło się, jak planował. Zgodził się znów pracować dla Mema z jednego powodu: miała to być praca poza Coronado. Jego rodzinnym miastem. Tam się ożenił, doczekał syna, założył rodzinę. Przed przeszło dziesięć laty, dobiegał wtedy czterdziestki. Jego życie bardzo się od tamtych czasów zmieniło. Zmieniło

się, kiedy zaczął pracować dla Mema. Brzuch Marianne zaokrąglił się, żadnych widoków na pracę w dolinie, trzeba koniecznie odłożyć trochę grosza.

Dziesięć lat, a jego noga nie powstała w Coronado, przez cały ten czas nawet nie zadzwonił do domu. Zostawił dwunastoletniego syna. Obawiał się, że dziś syn nawet by go nie poznał. O tym wszystkim myślał, kiedy zadzwonił Memo i zaproponował pracę, okazję na powrót do domu, choć samemu Rayowi jego własne powody przez te dziesięć lat ani razu nie wydały się wystarczająco dobre. Miał za co być mu wdzięczny, przynajmniej tyle. Niczego innego nie pragnął, od bardzo dawna, ale nie wiedział, jak to zrobić, coś tak prostego, spotkanie z synem, albo chociaż możliwość zobaczenia go. Mógłby zacząć nowe życie z dala od przemocy tych dziesięciu ostatnich lat. Memo był źródłem wszystkiego.

Kiedy się spotkali, był młodym mężczyzną, chudym, muskularnym, z ostrymi meksykańskimi rysami twarzy. Później, po śmierci ojca, rysy te wypełniły się, twarz zaokrągliła i Memo zaczął wyglądać solidnie jak pralka, jak lodówka. Wyłysiał na czubku głowy, resztę włosów golił, czaszka błyszczała mu, jakby była ze stali nierdzewnej.

Ray wołał ojca od syna, ale to syn poznał się na jego talencie. Memo awansował, a on awansował wraz z nim. Był dobry w tym, co robił, w karaniu ludzi, którzy stawali na drodze Mema. Wzmacniał siły rodziny, żeby sprowadzane przez nią narkotyki zawsze docierały na miejsce. Ale potrafił także być ostrożny. Przetrwał tyle czasu, kręcąc nosem, wybierając bez pudła właściwą robotę spośród tych, które mu oferowano.

Miał ciemną skórę, gęste siwe włosy na skroniach i

okrągłą meksykańską głowę, dziedzictwo od strony matki. Przyzwyczał się do niej, bo kiedy dorastał, widywał identyczne u jej kuzynów i braci. Krótko przycięte włosy podkreślały zdecydowany zarys szczęki, a szorstki zarost dodawał charakteru rysom twarzy.

Podniósł wzrok, rozejrzał się po maleńkim pokoju, zobaczył prawie wyłącznie porzucane ubrania. Usta miał wewnątrz suche, obolałe, czuł w nich smak prosty i czysty, jak nierozcieńzonego alkoholu. Wyschnięte na wiór, to przez picie. Siedmiu krasnoludków już maszerowało mu wewnątrz głowy, gotowych do codziennej pracy, łupania kamieni. Wysoko wznosili miniaturowe kilofy, uderzali nimi w czaszkę, rytmicznie, jeden za drugim.

Wziął ze stołu buteleczkę tylenolu, wysypał na rękę trzy pastylki, przełknął je na sucho, poprawił antacydem, na zgagę, i zakończył jedną z tych dziesięciomiligramowych pigułek, które doktor z Wirginii kazał mu brać dwa razy dziennie. Siedmiu krasnoludków nadal waliło kilofami w jego czaszkę, śpiewając piosenkę, którą dopiero teraz udało mu się wygrzebać z zakamarków pamięci. Śpiewał ją kiedyś synkowi: *Hej ho, hej ho, do pracy by się szło.*

Nalał wody do umywalki. Pojedyncze światełko ściennej lampki rzucało żółty poblask na jego twarz. Lustro zaparowało, zasłaniając wpatrzoną w nie okrągłą głowę.

Przytrzymał dłoń pod wodą, sprawdzając jej temperaturę, a potem obiema rękami ochlapał twarz i czekał, aż ścieknie po policzkach. Ból z tyłu głowy słabł, odpływał powoli, po odrobinie. Lekarstwa działały. Krasnoludki wybrały się na wyprawę, badając głębie pnia jego mózgu.

Gdy tylko Memo powiedział mu o pracy, Ray podjął

decyzję, że ta będzie ostatnia. Wraca do domu, do Coronado. Wraca do domu zobaczyć syna. Oszczędności wystarczą na kilka pierwszych lat. Potem będzie musiał poszukać czegoś zwykłego, może zostanie prostym robotnikiem na polach naftowych, ale na razie ma dość. Ostatnia praca przyda się, tak na wszelki wypadek.

Przez lata spędzone poza miastem starał się utrzymać w formie. Walczył z tłuszczakiem, który pojawiał się na brzuchu, napinał gumkę slipek, rozpierał dżinsy na udach. Codziennie rygorystycznie sprawdzał wytrzymałość mięśni, aż na skórę występowały wielkie krople potu, przemaczały koszulę i spodnie. Mimo wszystko po opuszczeniu Coronado przybrał na wadze. Wspomnienie po sprawnych mięśniach objawiało się w zmarszczkach na czole i skrzywieniu warg widocznym w lustrze, gdy poruszał szczęką, rozsmarowując po policzkach krem do golenia.

Golił się bardzo ostrożnie. Kolejne pociągnięcia ukazywały coraz to nowe pasy skóry nieokreślonej, brudnobrązowej barwy, mieszanki różowej cery ojca i ciemnej cery matki. Prawdziwy brąz zanikał wraz ze zgolonymi włosami, odziedziczony po ojcu orli nos zaznaczał swą obecność coraz wyraźniej.

Memo powiedział, że to wielka szkoda, że tak to się ułożyło. Ray nie wiedział, co ma z tym począć. Cokolwiek powie, nie będzie mieć wpływu na przeszłość, bo nie może. Nic nie zwróci mu Marianne, nie wyleczy jego synka, Billy'ego. Na to Memo nie mógł poradzić, Ray wiedział o tym doskonale, wiedział, jak to działa, wiedział, że przeszłość się nie zmieni, ale przyszłość może.

Gdzieś daleko, na samym krańcu osiedla przyczep,

zaszczekał pies. Zachrząścił żwir pod oponami samochodu. Ray spojrzął na zegarek. Podeszedł do kuchennego okna w samą porę, by zobaczyć mężczyznę, pewnie siostrzeńca Mema, Sancheza. Przyjechał fordem bronco, szybko, wcisnął hamulec. Zabłyły światła stopu, barwiąc żaluzje kuchennego okna na czerwony kolor grubego pustynnego piasku.

Grzebał w szafce nad lodówką w poszukiwaniu pudełka po krakersach. Trzymał w nim broń. Szafka była wysoko, widział tylko ścianki pudełek, musiał macać w ciemności, wyciągać jedno po drugim, a potem wkładać je na miejsce i przesuwać. Pamiątki poprzedniego życia rozsiane po całej przyczepie, wsunięte pod ławę w dużym pokoju, wciśnięte pod umywalkę w łazience, ukryte za wypełnionymi do połowy butelkami szamponów. Same drobiazgi, trzymał je, bo sądził, że kiedyś może mu w czymś pomogą, ale teraz nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

Zapatrzył się na pudełko z zabawkami Billy'ego. Znał wszystkie razem i każdą z osobna: małego pluszaka, plastikowe figurki bohaterów gier, gumową kaczuszkę, towarzyszkę kąpielii. Zabawki, a nawet samo wygładzone od dotyku palców pudełko, przypominały mu powód, dla którego chciał się wyrwać z tego biznesu. Nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał w nim pracować.

Memo powiedział, że trzeba tylko pogadać, ale Ray wiedział, że nie skończy się na gadaniu. Nigdy nie kończy się na gadaniu. Wiedział też, że już nie ma czasu, bo siostrzeniec Mema czeka, by wyszedł z domu i wziął się do roboty.

Odłożył zabawki na miejsce. Znalazł pudełko ritzów, wyjął z niego przezroczystą plastikową torebkę pełną

spleśniałych sucharów i rugera. Matowa czerń nie odbijała światła kuchennej lampy. Rozkładał go, czyścił i składał po każdej robocie. Owinął pistolet w kurtkę, a potem usłyszał pukanie do drzwi.

Sanchez stał przy schodkach do przyczepy. Głowę otaczała mu para oddechu. Ray pchnął drzwi i wyszedł na czyste, suche powietrze. Było jakieś pięć stopni, nie więcej. W półmroku osiedla przyczep stał bronco z otwartymi drzwiami od strony kierowcy, z radia płynęła latynoska muzyka. Poza tym wszystko jak zawsze: gdzieś przy wjeździe szczekanie psa, przyczepy pograżone w cieniach jak rozrzucone po obu stronach wąskiej żwirowej uliczki klocki, każdy inny, obdrapany i pogięty przez lokatorów przychodzących, odchodzących, pozostawiających ślady. Stara Dalton, wynajęta od właściciela za pięćdziesiąt dolców na tydzień, spoczywała za jego plecami na kołach i betonowych blokach.

Ray widział, jak chłopak się porusza, jak patrzy na tę przyczepę, jakby nigdy przedtem nie widział czegoś takiego i miał kłopoty z uwierzeniem świadectwu swych oczu. Podobnie jak wuj Memo, Jim był Meksykaninem, sporo od niego wyższym, młodym, muskularnym, z wygoloną głową i pasem czarnych włosów ciągnącym się od ucha do ucha. Miał na sobie bluzę z kapturem i białe tenisówki.

— Nowa krew? — spytał Ray.

Chłopak spojrzał na niego. Uśmiechnął się.

— A ty stara?

□ □ □

Kilka godzin później Ray rozsiadł się na siedzeniu bronco zaparkowanego wśród krzaków akacji, osłaniających

samochód od strony ciągnącej się przed maską drogi gruntowej. Dojechali tu międzystanową z Las Cruces, nawet nie zamieniając słowa. Po trzydziestu paru kilometrach Sanchez zjechał na pobocze. Ray usiadł za kierownicą. Pojechali na południe, w stronę granicy z Meksykiem, drogą, którą Ray nie jechał od dziesięciu lat. Utwardzaną, z dziurami zalanymi smołą. Na pustyni zamarzała nocą, rozgrzewała się w dzień. Trzydziestometrowe betonowe odcinki przejeżdżało się z łomotem regularnym jak bicie serca. W powietrzu wisiał zapach kwitnących nocą kwiatów i pyłu unoszącego się w chłodnym pustynnym powietrzu.

Siedzący w samochodzie Ray od dawna wiedział, że życie usuwa mu się spod stóp. Zanosilo się na to, że dzisiejszy dzień nie będzie wyjątkiem. Po niemal dwóch godzinach zjechali z biegnącej przez dolinę szosy w prowadzącą wzdłuż urwiska drogę gruntową. Potem siedzieli, patrząc, jak powoli jaśnieje niebo na wschodzie. Nie chciał tu być, pomagała mu jedynie słaba nadzieja, że wszystko zaraz się skończy, a z tym wszystkim skończy się życie, jakim żył do tej pory. Życie, na które nie było lekarstwa.

Miał plan. O nim starał się teraz myśleć. Dorastał, pracując dla ojca na polach naftowych Coronado. Codzienne ćwiczenia wyrobiły mu barki i mięśnie ramion. Ćwiczył do dziś, robił pompki na podłodze, aż serce zaczynało go boleć, a płuca wpompowywały w krew płynny żar.

Sanchez przerwał milczenie.

— Wiem od wuja, że się wycofałeś.

Silnik tyka cicho, chłodzony powietrzem poranka.

— Przestałem pracować dla Mema — powiedział Ray.

Przyglądał się Sanchezowi, nieruchomemu w fotelu pasażera.

Krótko przycięte włosy, gęste brwi, napięta skóra twarzy o meksykańskich rysach. — Nie wycofałem się, po prostu nie pracuję już dla twojego wuja.

— Ale teraz dla niego pracujesz, nie?

— Mam swoje powody.

Bronco został skradziony z parkingu poprzedniej nocy. Założono mu migacz, podłączony bezpośrednio do przewodów przednich świateł. I reflektor punktowy nad zewnętrznym lusterkiem kierowcy. Poruszany dźwignią, przeprowadzoną do wnętrza w gumowym przewodzie. Sanchez podjechał do Raya nocą, nim słońce wychyliło się zza horyzontu, w workowatych džinsach i mającej chronić przed chłodem czarnej bluzie. Czuć go było smarem i papierosami.

Ray ma na sobie impregnowaną kurtkę z grubego płótna, jak zawsze. Kurtkę z podpinką, od chłodu. Pod kurtką flanelowa koszula, zapięta aż prawie pod szyję. Stare wytarte džinsy, poplamione przy innych pracach, innych kłopotach, ale mimo wszystko nosił właśnie te. Zapach szaławii i pustynnego pyłu wpływa przez przewody wentylacji, kiedy tak siedzą, rozmawiają, z oczami wpatrzonymi przed siebie, w mrok kolejnego dnia.

— Dzięki tej forsie wyniosę się z Las Cruces — powiedział Ray.

— Dokąd? — Sanchez roześmiał się. — Na Florydę? Nie jesteś jeszcze taki stary, poza tym wiesz, że nie można się wycofać. Nie w tym zawodzie. — Wyjął torebkę tytoniu, bibułki.

— W tym zawodzie? — zdziwił się Ray.

— Wiesz, o czym mówię.

Ray powiedział, że wie. Sporo wiedział o tym, o czym mówił Sanchez. Może nawet za wiele? Tak naprawdę chciał się tylko wydostać, przed dziesięciu laty znalazł drogę, ale nie doszedł tą drogą tam, gdzie wiedział, że powinien pójść.

— Szczęściarz z ciebie — powiedział Sanchez, skręcając papierosa.

— Szczęściarz — zgodził się z nim Ray. — Próbowałem nie popełnić błędu.

— Z tego, co słyszałem od wuja, to był wypadek. Ale mimo to popełniono błędy.

— Błędy? — powtórzył Ray.

— Twój kuzyn. Stracił pracę, nie? Był szeryfem i stracił pracę, bo stało się to, co się stało. Zginęła kobieta z kartelu, tylko dlatego, że nie chciałeś odpuścić.

Ray siedział i myślał. Próbował przypomnieć sobie, co powiedział wtedy do kuzyna. Do Toma. No właśnie, co powiedział? Dokładnie. Jak to ujął? Żona Raya, Marianne, nie żyje, jego syn siedzi z nimi przy stole, na wysokim krzeselku. Ray i Tom rozmawiają, Tom w swoim starym mundurze, kapelusz rzucony na stół obok połówki zgrzewki piwa, które pił Ray. Pił piwo za piwem, jakby nowy dzień miał nigdy nie nadejść, jakby nie chciał pamiętać, co kazał Tomowi zrobić.

— To ty powinieneś tam być — powiedział Sanchez.

— Ja próbowałem wtedy nie obsrywać własnego podwórka. Coronado miało własne problemy. Nie potrzebowało moich.

— Memo zawsze powtarzał, że to cię załatwiło. Powiedział, że potem robiłeś już wszystko po swojemu. Powiedział, że wtedy byłeś najlepszy.

— Użył tego słowa? Że byłem najlepszy?

— Od niego wiem, że zabiłeś braci Alvarezów. W osiemdziesiątym drugim.

— To było dawno temu — powiedział Ray.

— Słyszałem, co zrobiłeś w Deming, parę lat później — mówił dalej Sanchez. — Słyszałem, co się stało pod Las Cruces, o tym domu na farmie, na północ od miasta. Wuj powiedział, że byłeś...

— Nie jestem już tamtym człowiekiem — przerwał mu Ray. Odwrócił się, spojrzął na wpół wypalonego papierosa, a potem podniósł wzrok na palącego go Sancheza. — Ile masz lat?

— Dwadzieścia sześć.

— I kiedy to wszystko słyszałeś?

— Uzbierało się przez jakiś czas. Rodzinne rozmowy. Słyszałem, że odwalałeś kupę roboty w latach siedemdziesiątych i że w osiemdziesiątych przeszedłeś na zawodowstwo.

— A słyszałeś, że miałem żonę? I małego synka?

Ray cały czas obserwował Sancheza. Młody człowiek nie patrzył mu w oczy, tylko przez boczną szybę. Obserwował własne odbicie.

— Słyszałem o tym — potwierdził.

— Pomyłka — powiedział Ray. Otworzył okno, patrzył, jak jego oddech ulatuje chmurką w chłodne powietrze poranka. Można pracować, mówiąc sobie, że to biznes i tylko biznes. Zupełnie co innego przynieść pracę do domu, do kuchni, gdzie jada się obiady, gdzie żony gotują, a dzieci raczkują po podłodze.

— Ale poradziłeś sobie — zauważył Sanchez. — Udało

ci się jakoś sobie poradzić.

— Nie jestem już tamtym człowiekiem, rozumiesz? — Ray wpatrywał się w ciemność, przypominając sobie zdarzenia, od których uciekł przed dziesięciu laty, o których nawet myślał, że zostawił je daleko za sobą. — Skończyłem z tym.

— Ale to wuj po tobie posprzątał, tak?

— Był dobry w tych sprawach — przyznał Ray. — W sprzątaniu.

— Przykro mi z powodu twojej rodziny — powiedział Sanchez. Wreszcie. — Ale to przecież niczego nie zmienia. Powinieneś o tym wiedzieć.

— Nie jestem już tamtym człowiekiem.

— Kimkolwiek jesteś, zadzwonili do ciebie, bo znasz okolicę i dobrze odegrasz swoją rolę. Jak zawsze.

— To wszystko?

— To wszystko, czego chcemy.

— Myślisz, że ten facet po prostu się zatrzyma?

— Na dachu miga światło. Pomyśli, że jesteś gliniarzem. Gdyby próbował uciec, dałby powód do przeszukania, a tego z całą pewnością nie zechce. Masz tylko podejść do niego, poprosić o prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Odegraj rolę, zaświeć latarką w szybę, wyjmij ładunek spod ławki.

Ray wyprostował się na siedzeniu. Nie odrywał wzroku od szyby, nawet kiedy słuchał Sancheza. Wiedział, że obok, niewidoczna w mroku wnętrza bronco, spoczywa strzelba myśliwska o dużym zasięgu. Wiedział także, że to stanowczo za wielka rzecz, jak na rozmowę na poboczu drogi.

— Idziesz ze mną? — spytał. Rugera, dziewiątkę, miał w kieszeni tej swojej ocieplanej kurtki.

Strzelba stała oparta o drzwi, w zasięgu ręki Sancheza. Po drodze Sanchez odbezpieczał ją i zabezpieczał, co jakieś dziesięć sekund rozległ się metaliczny trzask, który odliczał czas.

— Tego byśmy nie chcieli — powiedział. — Parę lat temu, nim mnie posadzili, pracowałem dla tego człowieka. Dość regularnie. Będzie wiedział, po co się tu zjawilem, i co ważniejsze, będzie wiedział, że nie jesteś gliniarzem. — Odszukał wzrokiem strzelbę, sięgnął po nią, odbezpieczył. — Jeśli wysiądę, to będzie znaczyło coś zupełnie innego.

— Naprawdę myślisz, że tak po prostu odda mi narkotyki?

— Oślepij go latarką, niech nie zobaczy ani twojej twarzy, ani mojej. Jeśli dobrze to rozegrasz, zabierzesz ładunek i wypuścisz go po upomnieniu. Nie będzie mógł nic zrobić. Nie zaczepi gliniarza, nie wróci do Coronado po nowy towar. Będzie załatwiony.

— Kim są ci ludzie? — spytał Ray.

— Samochód, na który czekamy, wyjeżdża z Coronado raz w miesiącu. Odbierają narkotyki na granicy. Przewożą na północ, do Deming, a potem międzystanową dziesiątką na wschód, do Las Cruces, albo na zachód, do Tucson. Wszystko przechodzi przez takiego jednego Daria Campa. Ma bar w miasteczku.

— Więc tylko o to chodzi? Przeszukanie?

Sanchez zgarnął papierosy z półki pod przednią szybą do paczki na tytoń, którą trzymał w ręku.

— To było nasze terytorium — powiedział.

— Myślałem, że to ciągle jest wasze terytorium — zauważył Ray. — Bo przecież o to chodzi, nie? Czy nie dlatego mój kuzyn stracił pracę i zastrzelił tę kobietę, że

Memo próbował ustawić wszystkich przeciw wszystkim?

— Nie wiem, co słyszałeś, ale kartel próbuje zabrać wszystko wszystkim. Nasze terytorium zmniejszyło się o dobrą połowę.

— Może jest jakiś powód, że już nie jest wasze? Myślałeś o tym?

Sanchez schował gotowe skręty do torebki tytoniu. Zabrał się za następne, a Ray tylko na niego patrzył. W końcu Sanchez zdecydował się odpowiedzieć.

— Wypadłeś z obiegu. To ci muszę przyznać. Myślisz, że wiesz, jak to jest, ale gównie wiesz. Musisz być bardzo ostrożny, kiedy tam podejdziesz, kiedy zabierzesz towar. Nie bądź taki pewny siebie tylko dlatego, że tkwisz w tym dłużej ode mnie. — Umilkł i z podziwem obserwował swoje dzieło, na pół skręconego papierosa. — Bądź ostrożny z każdym, kto pracuje dla Daria. On jest naprawdę dobry. Wyjątkowy. Nie daj mu powodu. Najmniejszego. Kiedy będziesz odbierał towar, nie pokazuj twarzy. Zrób, co trzeba, to nic nam nie będzie.

— Robię to od bardzo dawna — przypomniał mu Ray.

— To prawda. Wuj mówi, że jesteś najlepszy. Powiedział mi, że nikt nie mógł się z tobą równać. Ale moim zdaniem powinieneś wiedzieć, że Dario to nie jest ktoś, z kim możesz się czuć swobodnie. Pochodzi z Juarez. Jest z kartelu. Ostatniemu facetowi, który spróbował tego, czego my próbujemy, zdarł skórę z dłoni, od nadgarstków po czubki palców. Mówią, że skórę trzyma na biurku, a kiedy robi się chłodno, wkłada jak rękawiczki.

— Wygląda mi na to, że to Memo kołysał cię do snu. — Ray roześmiał się. — Co to jest, twoja ulubiona bajeczka na

dobranoc?

Sanchez nie patrzył na niego. Siedział, kręcił głową i robił papierosa.

— Memo opowiedział ci tę historyjkę? — nie ustępował Ray. — Może myślał, że dzięki temu będziesz grzeczniejszy?

Ale wiedział, że w ciągu zaledwie kilku minut wszystko w nim oklapło. Kartel — pomyślał. Ten sposób na życie nie był już atrakcyjny. Nie taki atrakcyjny jak kiedyś.

Na jego oczach światło zrobiło się ziarniste, różowe, gruntowa droga wyrzała z cienia.

— Lepiej by było, gdyby ten facet już się pojawił — powiedział.

— Pojawi się, pojawi — burknął Sanchez, wysypując resztę tytoniu do bibułki, śliniąc ją i zalepiając.

— To się jeszcze zobaczy. — Ray patrzył przez krzaki akacji, szukając miejsca na drodze, tak żeby biegła prostopadłe do linii jego wzroku. — Wolałbym nie zrobić z tego zbyt dużego bałaganu, bo nie będzie mi się go chciało sprzątać.

— Nie będzie bałaganu.

Ray usłyszał przez okno głosy budzących się ptaków, szelest wiatru w akacjach, suchy trzask uderzających o siebie gałęzi. Państwowa ziemia, zapach krów i kurzu... tylko to tu było, a pola naftowe ojca leżą przecież zaledwie kilka kilometrów na południe, od lat nie był tak blisko nich. Większość wydzierzawiono teraz na pastwiska kilku sąsiednich rancz.

Wysunął rękę za okno. Dłoń trzymał prawie na lusterku. Zaczynał się denerwować, tak blisko poprzedniego życia i rodziny, wobec której nigdy nie był szczery do końca.

Wychylił się. Poruszył szperaczem. Chciał to załatwić jak trzeba. Chciał, żeby wyglądało oficjalnie. Jeśli załatwi to jak trzeba, będzie wolny, dopóki starczy mu pieniędzy, a jeśli zagra sprytnie, to nawet dłużej.

Manewrował szperaczem i obserwował drogę, kiedy najwyżej piętnaście metrów od nich przejechał stary chevrolet pick-up z włączonymi światłami postojowymi.

Dogonili go w minutę, Ray prowadził, Sanchez siedział obok, światło migacza sięgało tylnej klapy chevroleta. Ray włączył szperacz. Przez tylną szybę widział kapelusz z szerokim rondem na głowie kierowcy. I skórę, białą w silnym świetle. I pasażera. Pasażera, którego obaj z Sanchezem nie brali pod uwagę. Ale pasażer tam był.

Ray odbezpieczył rugera.

— Wiesz coś o tym? — spytał. Pochylił się, wsunął pistolet za pasek. Patrzył na starego pick-upa stojącego trzydzieści metrów przed nimi. Światła postojowe ledwie przebijały się przez poranną mgiełkę.

— A co za różnica? — odparł Sanchez. — Nic się nie zmieniło.

Ray otworzył drzwi, popychając je ramieniem. W lewej ręce trzymał latarkę. Uderzał nią o nogę, w rytm kroków. Jasne światło szperacza docierało wszędzie, przed sobą miał swój cień, deptał go, czarną bezdenną otchłąń. Wokół nie było nic oprócz zapachu kwiatów pustyni, pyłu i krowiego nawozu. I wąskich pasm kwitnącego na żółto tytoniu szarego, rosnącego jak chwasty po obu stronach drogi, zaledwie widocznego w słabym świetle brzasku. Zbliżył się do furgonetki. Zapalił opartą na ramieniu latarkę. Wiedział, że przy policjantach tacy ludzie często robią się nerwowi.

Już prawie zrównał się z kabiną. Uniósł latarkę. Znał tego człowieka, Jacoba Burnhama. Pracował tu, kiedy Ray był jeszcze dzieckiem. Teraz, w jednej chwili, uświadomił sobie także, dlaczego Memowi tak bardzo zależało, żeby to właśnie on wykonał tę robotę.

Ray znał Burnhama przez całe życie. Przewozili razem narkotyki, kiedy zaledwie startował w tym interesie. Pierwsze spotkanie z Memem załatwił mu właśnie Burnham, facet dwadzieścia lat od niego starszy, blady, z prześwitującymi spod białej skóry niebieskimi żyłkami i włosami srebrnymi jak rtęć nawet wtedy, przed tyloma laty.

Burnham był tutejszy, mieszkał w Coronado od zawsze. Przewoził narkotyki przez granicę, Ray słyszał o nim różne rzeczy jako dziecko, powtarzano je szeptem, gdy mijał ludzi, gdy skręcał za rogiem i znikał im z oczu. Teraz obaj pracowali w tym samym interesie. Pracowali w tym samym interesie dłużej, niż Ray miał ochotę przyznać. Zajmowali się tym samym, uprawiali ten sam zawód; wiedział, że ci sami ludzie, z Coronado, pewnie ciągle jeszcze wymawiają szeptem jego nazwisko, jak przedtem wymawiali nazwisko tego starucha.

Nie spuszczał z niego wzroku. Burnham czekał, siedząc nieruchomo za kółkiem. Światło latarki na szybie od strony kierowcy z pewnością go oślepiało. Ray upewnił się, że stary nie trzyma nic w rękach. Zastukał knykциями w szybę. Czekał, póki się nie otworzy.

— Dzień dobry, panie władzo.

— Proszę o jakiś dowód tożsamości — powiedział Ray, zmieniając głos tak, by nie był podobny do niczego, co Burnhamowi mogłoby się z kimś kojarzyć.

Burnham sięgnął do tylnej kieszeni. Jego beżowy kowbojski kapelusz, płaski, z szerokim rondem, nie przypominał żadnego noszonego przez kogokolwiek w Coronado. Wyjął portfel, z portfela prawo jazdy. Podał je Rayowi.

— Jacob Burnham — odczytał na głos Ray. Przesunął kciukiem po prawie jazdy, przyjrzał się zdjęciu. Skóra blada jak kreda, pomarszczona, srebrnisiwe włosy szesane na prawo, nierówno przycięte, jakby strzygł się sam. — A pański pasażer?

Stary zerknął na siedzącego obok mężczyznę, a potem znów spojrzął na Raya.

— Nazywa się Gil Suarez — powiedział.

— Doprawdy? — Ray oddał mu prawo jazdy. — Proszę wysiąść z samochodu.

Nadal trzymał latarkę nad ramieniem. Burnham zawahał się. Spojrzął na niego, jego oddech przeszywał strumień światła chmurką pary, rozpraszającą się i znikającą w ciemności po drugiej stronie.

— Takiego jak ty jeszcze nie widziałem. Nie włożyłeś munduru jak zwykły zastępca szeryfa.

— Nie jestem zwykłym zastępcą szeryfa — powiedział Ray. Stary zmrużył oczy, chciał coś zobaczyć, ale patrzył w bok, tam gdzie światło nie było aż tak silne. — Przykro mi, ale w dzisiejszych czasach nie wiadomo już, kto tu jeździ i po co. Wolę mieć was tam, gdzie nic nie zasłania mi widoku. Nie musicie się zastanawiać, co macie w ręku albo pod siedzeniem.

Burnham westchnął. Wypuścił powietrze z płuc ze świstem, jakby skakał z wysoka do bardzo zimnego jeziora.

— Nie zrobiliśmy nic nielegalnego — powiedział. — Mamy prawo pozostać tu, gdzie jesteśmy.

— Znam wasze prawa. — Ray spojrzał na Gila Suareza. Oceniał, czy ten młodszy nie będzie bardziej niebezpieczny. Wrócił spojrzeniem do starszego. Czekał, aż wysiądzie, nie spuszczać z niego wzroku. Rękę trzymał prawie na biodrze. — Chcę po prostu coś sprawdzić — powiedział głośno.

Burnham postawił stopę na szosie. W tym momencie Gil Suarez spróbował szczęścia. Pistolet zmaterializował się w dłoni Raya, który okrążył kabinę furgonetki i szukał czystej pozycji do strzału. Gil, przygarbiony, żeby stanowić jak najmniejszy cel, biegł w stronę krzaków akacji przy drodze. Burnham, który stał na ziemi, wyciągnął ręce, próbując odebrać Rayowi broń. Ray pchnął go, przewrócił, przesunął się wzdłuż paki chevroleta. Nie miał jeszcze dobrej pozycji. Gil prawie dotarł do krzaków. Nie było innego wyjścia. Ray ściągnął spust. Tryskający z lufy płomień odbił się od kabiny pick-upa jasny jak żółta flara, kula zrykoszetowała po dachu, znikła w szarówce poranka.

Słyszac strzał, Gil skulił się jeszcze bardziej, ale dalej biegł przed siebie. Ray mierzył za nisko. Nie wiedział, czy Gil jest uzbrojony, co może mieć przy sobie. Burnham zdążył wstać, też się skulił i próbował uciec w krzaki. Oslaniała go skrzynia pick-upa. Ray wymierzył do niego, wychylił się zza samochodu.

Nie chciał zastrzelić Burnhama, ale wiedział, że będzie musiał to zrobić, jeśli stary nadal będzie uciekał. Już prawie wyszedł zza chevroleta, kiedy rozległ się głośny huk śrutówki. Burnham skoczył w powietrze w pół kroku i znikł za skrajem szosy. Ray odwrócił się. Sanchez przeładował i strzelił do

biegnącego Gila. Chłopak upadł, jakieś trzy metry od drogi. Śrut uderzył w ziemię w miejscu, gdzie się potknął.

Ma szczęście, sukinsyn — pomyślał Ray.

Sanchez przeladował po raz drugi. Gówniarz przebiegł wąski pas piasku między szosą a akacjami, znów omal nie upadł, ale zdążył zniknąć w zielonoszarych zaroślach.

Ray stanął, mierząc w nie z rugera. Huk strzału cichł, słyszał już wiatr w gęstych, splecionych gałęziach.

Obejrzał się na Sancheza, stojącego przy ich bronco.

— Weź karabin, jest z tyłu! — rozkazał. A potem znów spojrzął na akacje. Musiał zapamiętać miejsce, gdzie młody znikł mu z oczu. Bardzo starał się wypatrzeć ścieżkę. Stał i czekał z wyciągniętymi rękami.

Sanchez wyjął z bronco karabin myśliwski. Zatrzymał go, a Rayowi podał jedną ręką śrutówkę.

— Młodsza dla mnie — powiedział.

Ray chwycił ją jedną ręką wysoko za lufę. Metal był gorący, w czystym powietrzu pustyni czuć było zapach siarki.

— Trafieś go? — spytał.

— Nic o tym nie wiem.

Stał wpatrzony w punkt, w którym Gil znikł mu z oczu. Nie sądził, by udało mu się daleko zwiać. Po kilkuset metrach, tam gdzie droga prowadziła na północ dnem doliny, trafi na równinę płaską jak patelnia. A jednak tutaj pozostały tylko cienie i gęste krzaczki. Zza horyzontu na wschodzie przeciekła odrobina światła, rozjaśniła niebo, aż wszystko wyrastające ponad szaroniebieską mgiełkę i oni sami rzucili długie, cienkie cienie skierowane na zachód.

— Kiedy wyjdzie z krzaków, będzie widział szosę w dolinie.